

Karol Irzykowski

Tajemnica Bogumila)

W czasie challenge'u lotniczego, gdy lotnicy polscy większą część swego trudu mieli już poza sobą, jakież wzruszenie ogarniało nas wszystkich, jakież pragnienie, żeby i etap ostatni wygrać, żeby się Bajanowi udało. Czy wzlotom literackim towarzyszy takie samo zainteresowanie? Wcale nie. Jednak gdy Marja Dąbrowska ukończyła trzy tomy swojej powieści „Noce i dnie”, wszyscy jej czytelnicy i zwolennicy jakże gorąco pragnęli, żeby jej się udało i tom ostatni, żeby stanął na tym samym choćby poziomie co poprzednie. Tak nam się ta powieść jakoś spodobała, tak nam przypadła do serca, tak zżyliśmy się z jej bohaterami.

I mamy teraz tę radość, że tom czwarty się udał, że wielkie dzieło zostało w sposób godny zakończone i przechodzi teraz do „skarbcu literatury ojczyznej”. „Skarb” — to jest szumna nazwa, jednak w tym wypadku użył jej się godzi.

Co niejednego uderza w „Nocach i dniach”, — to, że autorka potrafiła nie kobietę, lecz właśnie mężczyznę uczynić swoim głównym bohaterem. Zwykle tak jest, że kobiety piszące najwięcej piszą o swojej płci, zwłaszcza o sobie samych. U autorów mężczyzn jest inaczej; można przytoczyć wiele arcydzieł, napisanych przez mężczyzn, właśnie z kobietą jako główną postacią. Pani autorki rzadko się za to rewanżują. Dąbrowska jest wśród autorek pod tym względem wyjątkiem, tak jak Orzeszkowa. Takie przereczanie się w psychikę drugiej płci wymaga wielkiej siły twórczej; a kto wie, — może i jakiego wyrzeczenia się siebie, obiektywizmu, do jakiego nie każdy autor czy autorka są zdolni. A może bodźcem twórczym jest tutaj tylko miłość, miłość w najwyższej formie, miłość rzeźbiąca sobie w wyobraźni posąg do ukończenia go? Dość, że są to sprawy tak niedocieczone, choć proste, jak tajemnica rodzenia się ludzi rzeczywistych.

Drugą jeszcze zaznaczamy niezwykłość w tych „Nocach i dniach”. Pani Dąbrowska ma zapal do tworzenia i opisywania ludzi dobrych. Nie sentymentalnie dobrych, nie mazgajów, lecz dobrych z wszelkimi przywarami ludzkimi. Taką jest już wiadać jej filozofia życiowa. Zaskakuje nas coraz to innym kształtem dobroci. I tak w tym czwartym tomie, w drugiej jego części, wprowadza nieznanego nam doświadczonego, wysokiego „niebotycznego” młodzieńca, oryginala, który, będąc bogatym, sam sobie czyści ubranie i buty, aby nikogo nie fatygować; wszystkich naokoło uszczęśliwia swym szczodrem sercem; dotychczas promykami byłaby tylko kobiety. Nasz pesymizm, nasz sceptycyzm wzdraga się; mówimy: nieprawdopodobne! skąd się wziął, gdzie się wychowywał ten ananas? A jednak autorka przedstawia go bardzo plastycznie i wiarygodnie. Niestety każe temu Owrukiemu rychło umrzeć, naprzekór nam, jakby za karę za nasz sceptycyzm. Doprawdy, nie porównując pani Dąbrowskiej z Szekspirem, ale tylko u Szekspira znalazłem taką pasję wyłaniania ludzi dobrych.

Lecz wróćmy do naszego pana Bogumila Niechcica, z którym przeżyliśmy dobrych dwadzieścia lat. Przeżyliśmy — a jednak nie znaliśmy go tak zupełnie. Dopiero w czwartym tomie odsłania się tajemnica Bogumila; jego duża nie była tak prosta.

Najpierw widzimy coś, co się często zdarza, ale co niekiedy w życiu rzeczywistym spostrzegamy: jak człowiek zamyślny, dobry, przez swą dzielną pracowitość i sumienność właśnie, może się uwikłać w tragedię. Nad Bogumilem zbierają się oddawna chmury, gdyż ma on swoją namietność, swoją przesadę. Chce za dobroć. Już raz, w poprzednich tomach, staliśmy go na tym gorącym uczynku, że w Serbinowie budował czworaki dla chładzi, choć właściciel wsi wcale go o to nie

prosił. Panie Bogumile, pozwalasz sobie zanadto. Dla ciebie to jest przyjemność, ale dla właściciela wydatek. Masz sumienie zbyt nerwowe, litujesz się na cudzy koszt. Ale ostatecznie właściciel p. Daleniecki ten wydatek jakoś zatwierdził, cudem ci się upiekło, panie Bogumile. A teraz oto masz nowego bika: chcesz drenować Serbinów. Drenować — to przecież inwestycja ogromna, Bóg wie, kiedy się to wróci, a tu takie czasy niepewne, wojna za pasem, rola może poczekać. Ale się uparłeś; ponieważ kontrakt dzierżawy zabrania ci robić inwestycję ponad trzy tysiące, pakujesz własnych 9.000 rubli w cudzy interes. Własnych? Nie bardzo własnych, bo jako mąż i ojciec powinieneś zabezpieczyć przyszłość żonie i dzieciom. No, panie Bogumile, więc jakaż różnica między tobą a graczem w Monte Carlo, który przegrывая cudze pieniądze? Namietność cię ponosi, namietność do ziemi.

Lecz z drugiej strony powiemy ci też, panie Bogumile, że to się nam właśnie podoba. Mieliśmy cię za filistrę, za pospolitego hreczkoświeja, co to tylko ciuła grosze, aby sobie i swoim dogodzić, aby kiedyś kawałek roli własnej kupić. A ty jesteś ryzykantem, ty w swoim hreczkoświejskim spokojnym stanie masz swoje przygody, swoje marzenia, swoje szaleń-

stwa. Drenować cudzy grunt za swoje pieniądze — to prawdziwie szlachecka fantazja, pozytywizm w kontuszu. Nie sobie służysz, ziemi służysz. A cóż ci ziemial! Do grobu jej z sobą nie zabierzesz, ona ciebie grobem okryje.

Nagle przyjeżdża na to dziedzie Serbinowa, Daleniecki, i sprzedaje Serbinów — tę ziemię drenowaną przez Bogumila wdziera mu z pod nóg. I nie dosyć na tem, — bo nie wiedząc, że Bogumil własne pieniądze włożył na tę poprawę roli, wpada chciwy Daleniecki w pasję, robi swemu dzierżawcy wyrzuty, robi zeń niemal złodzieja. To jest bardzo dramatyczna scena, ta rozmowa między bezwstydnym pasorzytem a człowiekiem pracy i inicjatywą.

— Co panu strzeliło do głowy z tem drenowaniem? — pyta Daleniecki. — Do czego to było potrzebne?

— Do czego to było potrzebne? — krzyknął Niechcic. — Ja się pa ryskimi perfumami nie perfumuję, tylko gnojem śmierzda, bo się w gnoju grzebię. Ja tu jeden wiem, co tej ziemi potrzeba.

Własność i praca skaczą sobie do oczu. Nie po raz pierwszy czytamy o konflikcie między pracą a własnością, ale mało gdzie uwydatniony on jest tak przeźrliwie jasno, tak jaskrawo, tak mocno i wśród takich właśnie stosunków.

To nie jest przeciwstawienie robotnika kapitaliście, Bogumil nie występuje tu w obronie swych za robków, tylko w obronie praw warsztatu.

Ta rozmowa zakończona jest ze strony Niechcica wyrznięciem księgi rachunkową o stół i trzągnięciem drzwiami. Jedyny to raz uniósł się gniewem ten zamyślny człowiek, Grozi mu katastrofa, nie gospodarska, nie od pożaru lub gradu, lecz z rąk niesprawiedliwego prawa. Jest wstrząśnięty. I jak ci ludzie, którzy w niebezpieczeństwie życia błyskawicznie przebiegają pamięcią całą swą przeszłość, tak on w tej chwili rozważa całe swoje życie. Wychodzi wtedy najaw jedna z rezerw jego duszy, o której nikt dotąd nie wiedział, nawet Barbara. Obelga z ust Dalenieckiego odnawia w nim stary uraz. Niegdyś w powstaniu, kiedy został schwytany, uciekł spod sądu wo jennego, wrogowie schwytali go jednak znowu i bili... bili... „Potem już na wolność — tak spowiada się żonie schrypiętym głosem — długo byłem taki zdziwiony, że mnie nikt nie bije. Z tego, wiesz, zostaje coś jakby znak na duszy”.

Już wiemy i rozumiemy. To w języku dzisiejszej nauki nazywa się „kompleksem gorszości”. Taki był sekret życia pana Bogumila, dopiero teraz wyjawiony Barba-

rze, sekret jego pokory i skromności. I ta dawna rana duszy jakby otworzyła się, gdy Daleniecki dotknął go słowem, jak to mówią do żywego.

W tej chwili jednak pani Barbara, tak skora kiedykolwiek do krytykowania męża, staje na wy sokości zadania swego jako żona i towarzysza życia. „Wzięła rękę Bogumila, przyciągnęła ją do swej piersi, a potem pocałowała”. „Takich rzeczy nie trzeba rozpamiętywać. To do niczego nie prowadzi — rzekła twardo”. I potem chwali Bogumila, że Dalenieckiemu świetnie na wszystko odpowie dział. „Właściwie ty byłeś górą” — powiada — „bo przecież twoja sprawa jest czysta”. Barbara więc solidaryzuje się z nim i scena ta kończy się obopólnym wyznaniem miłości, rzecz doprawdy wzruszająca u tak starego małżeństwa.

Sięgając wstecz do pierwszego tomu powieści, przypomniemy sobie, że Bogumil już raz po ślubie chciał się z tego swojego wewnętrzne zmartwienia żonie wyzwołać, lecz nigdy nie śmiał, — aż dopiero teraz.

Już wiemy o nim wszystko; katastrofa, chmury, Daleniecki spełnił swoje zadanie; więc autorka odwraca los, wpuszcza słońce napowrót. Dobrobyt Niechciców zostaje uratowany, dzie-

ki wdaniu się wspomnianego już oryginala Owrukiego, człowieka - anioła; Bogumil idzie w górę, nawet sam staje się teraz właścicielem folwarku. Niby jest u początku nowego życia, ziściły się jego pragnienia, ma nareszcie własną ziemię, ale to mu jakoś nie wystarcza; jak nieraz nie wystarczają nam rzeczy, które przechodzą z a późno, gdy człowiek już dojrzał i przejrzał — przejrzał w podwójnym znaczeniu. I oto widzimy pana Bogumila, jak po obejściu granic swej nowej posiadłości, na której chce się zagospodarować, — zmęczony, siada na kamieniu i rozmyśla. On, Bogumil, on, człowiek nieco powolny i niezadowolony w myśleniu, coś przeczuwa — filozofuje!

„Coś zbierało w nim i nabrzmiewało niby pieśń, już już mająca się rozleć melodiją i słowami. Dobywał ją z mokołem, aż sformowała się w myśl jasną, niby kryształ”.

— Z tym samym plugiem idąc, widzisz Boga, lub — tylko grudej ziemi. Na to samo drzewo patrząc, widzisz cud stworzenia, lub — widzisz tylko cień od skwaru, liście, owoce i budulec...

Ta myśl dźwiga się dalej ku górze i młodo z niej wyniknąć, jeszcze doskonalsze odsłonięcie się tajemnicy życia i świata — gdy nagle urwała się i zapadła w pustkę.

Bogumil jakoby od wysiłku tej myśli oszołomiony, na ziemi nieobecny, po chwili spostrzega, że kłęczy na rudej trawie i odmawia Ojczenasz. Przełom się w nim stał, jakieś niedoszące objawienie, lecz to objawienie jest jego szczęściem i końcem. Równocześnie bowiem nawiedza go przełom fizjologiczny: lewe płuco, przebita bagnetem w czasie powstania styczniowego, daje znać o sobie i Bogumil w osiem dni potem umiera na zapalenie płuc. Poprostu za ziębił się na ziemi, na której kłęczał. To jest naturalnie a jednak jakoś także nadnaturalne, tak samo, jak drzewo jest równocześnie i budulem i „cudem stworzenia” — zależnie od tego, jak na to patrzymy. Ziemia sięgnęła po Bogumila...

Myśl której nie mógł już ponownie uchwycić, w chwili gdy kłęczał, — tę myśl możnaby wyrazić także, parafrazując ostatnie zdanie z „Puszczy jodłowej” Żeromskiego:

Ziemia jest niczyja, ziemia jest Boża.

Za tego Bogumila od rolników, ale od prawdziwych rolników, należą się pani Dąbrowskiej wieńce i koniecznie jakaś ferma z dworkiem, a we dworku niech będzie też obraz przedstawiający Bogumila, jak kłęczy i rozmawia z ziemią.

W odczycie radiowym nie można się posługiwać subtelniejszemi ocenami krytyki literackiej. Ocena powyższa powieści pani Dąbrowskiej jest naogół słuszna, jeżeli się przyjmie — wyznawana także i przez nią — schopenhauerską zasadę, że należy dzieło oceniać według jego szczytów. Oczywiście, „Noce i dnie” mają też i błędy, i niedociągnięcia i ułatwienia, — widzę je tak samo do brze jak inni. Ale rzecz charakterystyczna, te błędy same przez się nie są interesujące, tak jak u innych pisarzy bywają; są tylko osłabieniami, ale nie wypaczaniem siły twórczej. Niejedną też zarzut stawiane „Nocem i dnem” wynikają ze zbyt szablonowego pojmowania form literackich. Np., że zakończenie powieści, o ile dotyczy Barbary, jest nijakie, rozplywa się w jakimś „i tak dalej”. Ale to jest właśnie t. zw. forma otwarta, używana i w malarstwie. Przytem, Barbara wprawdzie nie umiera heroicznie, ale umierają najdroższe wątki jej życia, umierają w ten sposób, że cichną w zgiełku wojennym. Pod tym względem doskonała w swej rozmyślnej szarości jest likwidacja tajnych nadziei Barbary o de Tolboskiego, przecinnych nadziei żywności przez całe życie. Kończy się ona nawet bez rozczarowania, bez spotkania, połączona zostaje przez pośpiech nowej fali życia — rzeczywistość wymłata ją, poprostu jak niepotrzebny już śmieć.

Alfred Jesionowski

Śląski Skoczylas — Paweł Steller

Wybrałem się do Pawła Stellera by zrobić z nim wywiad dla Radia. Poznałem go przełobnie u Moreciana, z wszystkich gości najbardziej cichy, najbardziej nieśmiały. Miał wtedy ze sobą wykończoną akurat „Tekę Cieszyńską” — dziesięć drzeworytów, w których artysta oddał w wspaniałym skrócie duszę Śląska: pełne wyrazu głowy górali i górala, rzewny krajobraz wiślański („Dziechinka”) w śniegu, szczytki chwały cieszyńskich Piastów zakłute w starą wieżę piastowską. (Zamek cieszyński i zamek skoczowski), świąt baśni reprezentuje „Sotonna”, typy śląskie uzupełnia technicznie świetnie wykonana „Ślązaczka w stroju świątecznym”, religijność ludu śląskiego ujęta jest w postaci największego świętego śląskiego, w bł. Janie Sarkandrze i w pełnym uroku i zadumy kościółku w Bielowieku, jeden z tych kościółków drewnianych, które stanowią specyficzny czar śląskiego krajobrazu. Podawaliśmy sobie te drzeworyty z rąk do rąk w wymownym milczeniu, każdy z nas medytował także nad tem, jakby tu, w domu prywatnym, podczas przyjęcia, dowiedzieć się, czy te drzeworyty są do nabycia. Na odwagę zdobyła się wreszcie dyrektorka gimnazjum włocławskiego, p. Słowska — i nie trwało kilku minut, teżka była rozdrapana, a artysta notował w noteci dalsze zamówienia.

Po tem spotkaniu minęło kilka miesięcy. Rozgłoszą katowicki, pragnąc ożywić dział regionalny, zainteresowała się nie tylko literatami śląskimi — ale pragnęła swym słuchaczom powiedzieć także coś o śląskich artystach. A ponieważ Steller jest ich najwybitniejszym przedstawicielem, rozpoczęłam serię felietonów o artystach śląskich od niego.

Podkaształem się nieco na Wilcze — t. zn., zaznajomiwszy się z techniką grafiki (teoretycznie), wychybrałem się na Raciborską (w Katowicach), gdzie mieszka i pracuje Steller. Starałem się po drodze przypominać sobie takie i inne „Tinty”, ale bez większego powodzenia, nabrała mi się jakaś fluoroforia (pomoć wynalazek polski), „i tak stałem przed drzwiami mieszkania Stellera. Machnąłem ręką — jakoś to będzie.

Całe mieszkanie (w nowoczesnym domu), składa się z dwóch pokoi i kuchni. Pokój mieszkalny, razem z jadalnią i salonem, jest równocześnie pracownią artysty. Ściany pełne akwarel, drzeworytów czarno - białych i barwnych, kilka pięknych portretów kredką na szarym papierze. Aha... znajomi z cieszyńskiej teki — tam portret prezydenta Mościckiego, za który Steller otrzymał swego czasu I. nagrodę, na konkursie graficznym

w Warszawie. Tu pyszna głowa rybaka, odznaczona przez warszawską Zachętę. Wzrok mój biega po ścianach — powraca do niektórych obrazów i drzeworytów — i tak mija chyba parę minut. Wreszcie słyszę cichy głos Stellera:

— Pozwoli pan — przedstawia mnie swej żonie.

Za chwilę czuję się w towarzystwie tych dwojga, cudownie do siebie dopasowanych ludzi, jak wśród najlepszych dawnych znajomych. Cieszyński (bo Steller nim jest), mają to do siebie, że potrafią nie spostrzeżenia szybko wytworzyć atmosferę tak ciepłą i serdeczną, jak chyba nigdzie w Polsce — toteż życie towarzyskie, to dawne, przedwojenne życie towarzyskie, kwitnie w cieszyńskim bez zmian. W tej atmosferze człek zaczyna nanowo wierzyć w ludzi, ich przyjaźń i bezinteresowność, w ludzką dobroć. Byłem teraz o wywiad zupełnie spokojny: bo choć i coś głupiego powiem, choć postawię pytanie laleko - naiwne, to mi dobitnie wytłumacza, o co mi chodzi.

Ciasnota naszego mieszkania wytłumaczy panu, dlaczego się zajmuję głównie grafiką. Do tej pracy nie trzeba obszernych warsztatów. A do malowania wybieram się w Boży świat. Za nie nie zrzeczywałbym z akwarel, którą ogromnie lubię — mówi Steller.

Z kredensu, który w większej części mieści niezliczone teki studiów i gotowych prac, wybory artysta olbrzymią tekę akwarel. Bożęku! Jest na co patrzeć!... Przede wszystkim mnóstwo pejzaży bezkreskich; przytulone do stoku górskiego chatki, zagubione gdzieś pośród gór rzeczki, samotne krzwy i drzewinki, tematy, któreby nazwać można „poszukiwaniem samotności”. Więcej z tych akwarel cisza, spokój, pełne współczujące serce, jakaś francuska dobroć bez okliwego sentymentalizmu, bez eukierowości — tego Steller nie znosi. Popatrzenie na jego drzeworyty, przedstawiające typy górali, górników, rybaków — ludzi ciężkiej pracy — ujrzyć i tam do stójny spokój, majestatyczną ciszę.

ale ujrzyć także ślady przebytych cierpień, mokołu codziennego, siłę i wolę. To są rzeczy, które się nigdy nie opatrzą, do których nie tylko wzrok ale myślenie wraca. Wytwornością i subtelnością odznaczają się nie tylko portrety kredkowe, na szarym papierze. Zwracam na nie uwagę.

— Portret kredkowy, to moja ulubieńca technika. W pracowni prof. Dittla w Pradze czeskiej, cieszyły się moje portrety kredkowe największym uznaniem. Cóż, kiedy obecnie nie mam zupełnie warunków do tej pracy.

Oglądamy teraz różne teki z pracami kredkowymi, potem piórkowymi, a jest ich dużo. Steller pracował dużo w grafice użytkowej: ilustracje do podręczników szkolnych, do kalendarzy, okładki, programy i t.p. Cio widzę fotografię wykonanego na zamówienie rządu polskiego adresu dla cesarzowej japońskiej, tam adres hołdowniwy dla Ojca Św. i szeregi innych podobnych prac. Nie mógłbym ich oceniać fachowo, bo się na tem nie znam, ale mi się przeważa tych prac, szczególnie piękne, delikatne ilustracje do książek i kalendarzy, bardzo podobają, zarówno spowodu oryginalnej kompozycji, jak i wykonania. Myślę o tem, że Steller, toby mi zrobił exlibris, na jaki dawno poluję. (Nie jest to broń Boże, przymówka, Panie Pawle). Pytam się o wystawy i sukcesy zagraniczne.

— Wystawiałem dużo i z dobrym naogół sukcesem w Krakowie, w Warszawie, w Katowicach i pomyślniejszych miastach polskich. Nadto w Zurychu, w Rzymie, dwukrotnie w Paryżu, w Marsylii, na wystawie obywatelowej po Francji, i niu, jak się to mówi, dobra rzecz „La Revue des Arts et de la Vie”, umieszcza zawyżającą dobrą krytykę moich prac, tak dobrej nie doczekalem się jeszcze w Polsce.

Ciekawość moją co do odbytych studiów, zaspokaja Steller długą odpowiedzią:

— Miałam studia bardzo przerywane. Rozpocząłem przed wojną w Państwowej Szkole Przemysłowej

we Lwowie. Szkołę tę ukończyłem normalnie, pod kierunkiem prof. Rozwadowskiego, Rejzmana, Krycińskiego, Rybkowskiego i innych. Potem przeniosłem się do Pragi. Wybuchła wojna, poszedłem do wojska, a po wojnie, dopiero nastąpił ciąg dalszy w Warszawie, w Państwowej Szkole Sztuk Pięknych. Drzeworytnictwo studiowałem u prof. Skoczylasa, jako innych profesorów miałem pp. Gazdowskiego, Kotarbińskiego, Sosnowskiego. Trwałe i piękne wspomnienia mam z wykładów prof. Nonkowskiego. Wogóle wspominać czasy warszawskie bardzo wdzięcznie i z radością; były cprawda pełne pracy, ale dały mi duże zadowolenia. W czasach warszawskich zapoczątkowałem zbiór zdobnictw ludowych, wędrując po regionach, bogatych w nie — i oto w tej tece widzi pan ich sporo. Nie miałem nieatoty czasu, by te zbiory uzupełniać, ale mam nadzieję, że do tego jeszcze powrócę. Po wyjściu z Warszawy wróciłem na Śląsk, tak naprawdę i na dobre, pracuję dopiero od ośmiu lat.

Trzeba przyznać, że było to ośm lat bardzo owocnych: 70 drzeworytów, więcej niż setka akwarel, sporo portretów kredkowych, setki prac piórkowych i studiów wszelkiego rodzaju, a świeżo rozpoczął prof. Steller prace nad drzeworytami barwnymi, techniką japońską; właśnie leży przed nami pierwszy: kapliczka w Beskidach. Pełn uroku w tym skromnym obrazku...

Siedzę już chyba ze cztery godziny, Steller wyciąga wciąż nowe teki i tecki — czas jednak pożegnać serdecznych gospodarzy, co i wreszcie czynię. Steller odprowadza mnie jeszcze na dworzec. Rozmawiamy o rodzinie artysty, która mieszka w Wiśle, o ksiązkach, których jest wielkim miłośnikiem (podziwiam szczególnie wielki i starannie dobrany zbiór prac z dziedziny filozofii i socjologii), mówimy o wspólnych znajomych, których mamy sporo.

O Stellera człowieku możnaby o soby, wielki artykuł napisać, zasługując na to w pełni ten subtelny artysta i serdeczny przyjaciel — ale to już chyba innym razem. W końcu tylko jedna uwaga pod adresem redakcji ABC:

Czy nie byłoby to na miejscu, by w przyszłym roku, gdy znów będzie subskrypcja na drzeworyty (a nie wątpię, że będzie), uwzględniono nie tylko artystów warszawskich, ale i prowincjonalnych? Pomijając fakt, że wielu artystów pracujących na prowincji, jest poziomem artystycznym równych artystom warszawskim, a niejednych nawet przewyższa — należy się to prowincji, która stanowi przecież poważny odsetek odbiorców drzeworytów. Niech Pan o nieb niezapomni, Panie Stanisławie!

Już wyszła z druku

powieść

IRENY PANNENKOWEJ

WIEŻY

Nakład św. Wojciecha. Do nabycia we wszystkich księgarniach. Cena zł. 4.50 w ozdobnej okładce.